ROZMAITOŚCI.

Dnia 27. Maja №r 21. Roku 1843.

BLIŹNIAKI LOSU.

OPOWIADKA HISTORYCZNA.

Kiedy to czyni, przeznaczenie w górze
Z ćmy losów ludzkich przypadek wyciąga!
Lunatyk.

Wenecyja — jestto mrzonka w rzeczywistość przeistoczona, sen, ręką przypadku w postać ucieleśniony, poezyja, którą los w srebrnych falach wykołysał i z modrych głębin, w życie wprowadził. Wenecyja — to bajeczne śniącego morza dziecię, ten rozkoszny Bagdad na łonie ruchliwych kryształów spoczywający, ta wschodnia oaza na stepie zachodu zbłąkana — ma wszelkie podobieństwo do uroczéj oblubienicy, która dla tego tylko z kąpieli występuje, aby się w źwierciedle morza swym wdziękom przypatrzyła. Jakiś niedocieczony, migotny połysk, jakaś mistyczna, tajemnicza opona zwiésza się nad tém wodném, urokliwém, pełném cudu miastem. Jestto sfinx zagadkowa, która się z rozpaczy w morze rzuciła, aby w niém skamiała. Tajemnica opiekuńczym duchem Wenecyi, ona patrzy z jéj ciemnéj kolébki, mieszka w jéj baśniach i zagach, ona podzwania w powietrznym jęku, który się o zczerniałe wiekami posągi roztrąca, ona pisze na karcie ustaw téj zapadłéj rzeczypospolitéj, swoje mistyczne głoski. Tak jest, tajemnica była tętnem weneckiego państwa, ona zasadniczą ustawą rządu jego; tajemnica stworzyła radę dziesięciu, tajemnica zbudowała ołowiane komnaty, wzniosła most westchnień i wydrążyła studniowe ciemnice. I dla tego tylko, że Bonaparte *Signorję* do przemówienia zmusił, upadła rzeczpospolita; gdyż tylko milczeniem stało to państwo, a piérwsze wyrzeczone słowo, odkłęło czarodziejskie koło bytu jego, i zniszczyło polityczne życie téj morskiéj sułtanki.

Łatwo z tąd pojąć można, dla czego poeci takiém uniesieniem gorą dla Wenecyi, dla czego Byron, obiegłszy całą niemal Europę, dopiéro pod niebem weneckiém wolniéj odetchnął. Kto zna Wenecyją, ten ma klucz w ręku: dla czego Szyller swego ducho-widza (*Geisterscher*) przeniósł do Wenecyi; gdyż tam trudno nie być ducho-widzem, a to, co na inném miejscu byłoby cudem, w Wenecyi staje się rzeczą naturalną. Tenże sam duch mistyczny owiéwa tam życie rodzin, a nawet byt każdego pojedyńczego; z tąd idzie, że los niejednego Wenecyjanina lub Wenecyjanki staje się romansem, a los kraju, przechodzi w romantyczne *Epos.*

Oto mamy przed sobą w jedwab' morskiéj barwy ładniuchnię oprawioną książkę, mającą głoski jak połysny piasek na młakach dziwnie migocące, a sens ich po wielu miejscach nito od solnéj powodzi zmyty; kształt jéj, do ostrygi podobny, a jéj wyjście na świat, rok 1706 wskazuje.

Z tychto mistycznych kartek odczytamy naszym czytelnikom zdarzenie następujące:

Piérwszego stycznia r. 1685 w godzinę po zachodzie słońca, kiedy już nabożeństwo pokończono, raz jeszcze otwarły się podwoje kościoła świętego Marka. Dwa nieliczne ale świetne orszaki wyruszywszy równocześnie z pałacu Morozini i pałacu Trevisano dążyły ku tumowi dla dopełnienia na dwojgu, przeszłéj nocy urodzonych dzieciach, świętego chrztu obrzędu. Obadwa orszaki weszły w jednéjże chwili przez dwoje drzwi pobocznych do świątyni, a niewiasty postawiły przy chrzcielnicy dwie małe kolébki. — Na czele jednego orszaku stał Onofrio Morosini, syn sławnego doży

Francesco Morosoni, wsławionego w rzeczypospolitéj swojémi zwycięztwy; na czele drugiego senator Bernardo Trevisano, członek trybunału czterdziestu, jaśniejący równie blaskiem swojego rodu jak i rozległą nauką. Na ów wiek był on jednym z najpiérwszych mędrców i najgłębszym znawcą skarbów starożytności. — Gdy mamki uchyliły zasłony z kolébek, głośny szmer podziwienia, mimo świętość miejsca, obiegł całe zgromadzenie, tak uroczo-piękne ujrzano twarze niemowląt; niewinny, anielski uśmiech igrał na ich lubych usteczkach, a ich żywe, słodkie oczęta zdawały się mówić: że im wiadomo, po co tu na ziemię z górnych przebytków zejść im kazano. W téj okoliczności, że Morosiniego synem, a Trevisana córką nieba udarowały, upatrywała gorąca, mistyczna wyobraźność weneckiego ludu tajemne skinienie losu, iż tych dwoje niemowląt w czasie słodkiémi śluby małżeństwa się połączy.

Synowi Morosiniego dano na chrzcie imię Giovanni, a córce Trevisano, Elżbiéta, bo tak nazywała się jéj szanowna babka Tagliapetra. Co jeszcze więcéj temu wypadkowi podziwu nadawało, było to, że zastarzała nienawiść rozdzielała dotąd te oba domy; wprawdzie ani Onofrio ani Bernardo nie żywili tak srogiéj w sercu nienawiści, jaką ich ojcowie zawzięcie pałali, gdyż ich obudwóch światło, i naukami ułagodzone obyczaje, nie dozwalały podawać się ślepéj, nieubłaganéj zaciekłości; jednakże ta, na chwilę uśmierzona nienawiść, mogła za lada podmuchem, znowu w niezgodę jasnym zapalić się płomieniem.

Wszyscy obecni patrząc się na to dziwne przy chrzcielnicy św. Marka dwóch nieprzyjaźnych stron spotkanie, byli mimowolnie tego mniemania, że sama Opatrzność zrządzeniem swojém wymagała tego, aby te obie zagniewane rodziny, położywszy kres zgubnéj dla rzeczypospolitéj nienawiści, podały sobie bratnie dłonie, i spólném ramieniem dźwigając sprawy kraju, dobro jego stanowiły.

To mniemanie ludu było tak naturalne, że Marosini i Trevisano nie przemówiwszy do siebie ani słowa, jakby instynktem potrąceni, ujęli się w ramiona jak dwaj bracia, którzy się dawno nie widzieli. Po tym serdecznym uścisku złożyli śród okrzyków ludu uroczyste przyrzeczenie: że dzieci swoje, gdy lat szesnaście dójdą, małżeńskim związkiem połączą, jeźli ten duch zgody i jedności unoszącéj się nad ich kolébką, silniejszą w latach późniejszych natchnie ich ku sobie skłonnością. To pojednanie i to zaślubienie było tak niespodziane i tak śpiesznie uiszczone, że nikt nie mógł powiedzieć, kto piérwszy tę myśl zgody powziął.

Z każdym miesiącem, z każdym rokiem wzrastała równie nadzieja rodziców, jak i tych dwojga dzieci miłość ku sobie, i rozwijała się razem z pięknością ich ciała i duszy. Jakoż nie było w tém dziwu, gdyż to było przeznaczeniem nieba, aby razem odbywali pielgrzymkę życia; nie było téż nikogo w świecie, coby tak był śmiały stanąć między niémi, i zniewolić sobie przychylność jednego z dwojga. Byłato dwójka idealna, dwoje nadzwyczajnych stworzeń, jednostka dusz w dwóch ciałach, któreby dla siebie na zawsze były zaginęły, gdyby nie to natury zdarzenie, że się w jednym czasie i na jedném urodzili miejscu, jak dwa piękne kwiaty na jedném pieńku, jak dwoje rajskich ptasząt w jedném gniazdeczku. Czystéj miłości obojga, żadna nie mąciła zazdrość; wiedzieli bowiem dobrze i czuli mocno, że niewiara nie może stanąć między niémi, gdyż ich miłość była z nieba, i w niebie zapisana. Żaden młodzian ani dziewica nie śmieli spłonąć ku nim miłością, jaka się zwykle między równémi sobie zawiązuje, wszystka młódź wenecka niosła tylko cześć i ubóstwienie téj rzadkiéj parze, którą poeci włoscy w ognistych pieśniach swoich jako pojaw z przestrzeń edeńskich ubóstwiali.

Imię Bernarda Trevisano jest jasną gwiazdą w dziejach literatury włoskiéj; dziś jeszcze spomina z uszanowaniem świat uczony o jego pracach w poszukiwaniach filozoficznych, szczególniéj chwali dzieło jego o nieśmiertelności duszy w łacińskim języku napisane. Zbadawszy pisma Demokryta i Arystotelesa, idąc za przykładem najświatlejszéj głowy owego wieku, idąc za Giovannim Caramuelem biskupem z Vigevano, oddał się zgłębieniu teoryjnych dzieł

boskiego Platona. Wiadomo, że głowa myśląca, jeźli się raz w tajemniczą głębię spirytualizmu zatopi, już się i po za obręby téj nauki wyciec nie wstrzyma. Bernardo był za nadto w wiedzy swojéj spragniony, aby wszystkich źródeł nie zbadał, z których mądrość ubiegłych czasów wiadomość swoję czerpała. Sami czciciele jego przyznawali, że się często w filozofiję liczb Pytagoresa zabłąkiwał, i że nauka kabalistów, któréj gorliwym zwolennikiem był Caramuel, a którą Bernardo za młodu miał za kłamliwą, szkodliwe na jego późniejsze dzieła wywarła skutki.

Bernardo Trevisano, udarowany od wyroków najmilszą córką, doznał wkrótce najdotkliwszych pocisków losu: śmierć wydarła mu młodą małżonkę, syn, jedyny dziedzic sławy domu Trevisano, jedyna nad eja, skonał na ręku ojca. Po zgonie tak drogich istot, świat cały wydawał się Trevisaniemu ciemną jaskinią, w któréj się cienie duchów przesuwają. Nawet jego urocza Elżbiéta, jego najpiękniejszy kwiatek zaczął już więdnąć, przeto często o niéj z westchnieniem zwykł mawiać: jestto błędny ognik, który nieustannie pomyka, nigdzie się nie zatrzymuje, a za lada wietrzyka powionem, w nicość się rozpływa.

»Na cóż się przyda twoja rozmoga w umiejętnościach, na cóż się zagłębiasz w pracownię natury«, zawołał jednego razu z bolesném uczuciem, siedząc w swojéj książnicy, »jeźli nie zdołasz przewidzieć i zażegnać nieszczęścia? jeźli nie możesz zniedołężnić grożącego piorunu? Czyliż życie jest tą ciemną otchłanią, któréj głębia wtedy dopiéro naszym oczom widna, kiedy się już w nią rzucimy? O, nie! Wszechmocny, który wlał w moję duszę tę niepokonaną żądzę zbadania ukrytego tętna tajemniczéj natury i który dał mi siły, abym przy światełku zamierzchłych wieków, zapalił pochodnię tegoczesnéj mądrości, ten nie może chcieć, abym zrzekł się owocu tylu bezsennych nocy. Moję ostatnią nadzieję, moję Elżbiétę, muszę wybawić od grożącéj zguby, a jeźli mi i to się nie powiedzie, natenczas cisnę w płomienie wszystkie moje księgi, i przeklnę to życie, które nas tylko urojeniem karmi; gdyż lepsza jest głupota źwierzęcia, niż wiedza bez owocu.« — Od skonu żony i syna nie dozwalał Trevisano nikomu wstępu do swego pałacu, całe dni i noce przesiadywał w samotnéj komnacie, gdzie prócz wróżbiarskich narzędzi, nagromadził wiele dużych ksiąg, w jakieś tajemnicze głoski pisanych.

Morosini szanował przez lat kilka samotne ustronie Bernarda, nie odwiédzał go, bo to odosobnienie się od świata, przypisywał smutkowi, po bolesnéj stracie. Dzień 1go stycznia r. 1701 zbliżał się; Morosini nie chcąc dłużéj odwlékać połączenia swojego syna z córką Trevisano, udał się do niego. Bernardo siedział w swoim pokoju zamyślony i oparty nad księgą.

»Tyżeśto Onofrio?« zapytał filozof obracając się ku niemu. »Czegoż żądasz odemnie?«

»Przychodzę przypomnieć ci dane przed szesnastą laty słowo. Pamiętasz śluby nasze w kościele św. Marka. Od połączenia dzieci naszych, zawisło obojga szczęście. Miałżebyś o tém zapomnieć? Albo może to prawda, że Elżbiétę przed kilkoma dniami oddaliłeś z Wenecyi?«

»Tak jest«, odrzekł Bernardo. »Elżbiéty nié masz w Wenecyi.«

»Jako?« zawołał Morosini głosem oburzenia. »A więc zadawniała nienawiść twojego domu, przytłumiła głos honoru i złamała twoje najświętsze przysięgi?«

Bernardo podał rękę i rzekł łagodnie: »Możeszże mnie o to posądzać? I tyżbyś dozwolił tego pomysłu, iżbym się mógł dopuścić takiéj niegodziwości?«

»Rozwiążże mi zagadkę twego zachowania się. Może stan twego majątku nadwątlony nie dozwala ci godnie wyposażyć twojéj córki. Elżbiéta jest bogatą w wdzięki i przymioty duszy, mój Giovanni jest moim jedynym dziedzicem, a skarbów, które stary doża, mój zmarły ojciec, w Peloponezie i na flotach tureckich nazdobywał, i mnie w puściznę nagromadził, nie przeliczy i przez lat siedm. Z tego powodu nie miéj więc żadnéj obawy.«

»Z jakąż łatwością i z jaką wymową umiész mnie o taką słabość posądzić? Za nadto cenię Giovanniego, abym mu nie miał oddać ręki córki mojéj, chociażby najuboższą była, ale Elżbiéta jest najbogatszą dziedziczką

w całéj rzeczypospolitéj. Płonne więc twoje domysły; ale posłuchaj, co mi na sercu: Wieszże ty, czy myślałeś kiedy o tém, co jest przyczyną, co źródłem naszego szczęścia lub nieszczęścia? Wieszże, od czego nasze losy zawisły?«

»I czemuż nie? naprzód od Opatrzności, a po niéj, od użycia zdolności naszych, w ogóle, od rozumu naszego.«

»Dobrze to jest, ale Opatrzność ma także swoje ustawy, których przekroczyć nie może, ponieważ je sobie sama nadała. Nie jestto więc mądrością, ale zuchwałą śmiałością walczyć przeciw niezmiennemu narządowi tych ustaw, gdyż ten zégar bije podług ustroju wewnętrznéj konieczności swojéj. Najgłębszym mędrcem w téj mierze jest Pitagoras, który był może więcéj niż człowiekiem, kabaliści poszli w jego ślady, a mój nauczyciel Caramuel, jest najgorliwszym ich zwolennikiem. Czego oni szukali—ja to odkryłem: Los całego życia zakryty przed okiem tłumu, spoczywa w **głoskach naszego imienia**. Od tego, jak te litery obok siebie stanęły, jak się między sobą wiążą, zawisł pomyślny lub niepomyślny skutek naszych czynności, stosunek zaś, w jakim te głoski zostają do nazwisk miesięcy i lat, kréśli rozmaite epoki naszego życia.«

»Cóżem usłyszał?« zapytał Morosini z podziwieniem. »Potoś więc od twojéj młodości tak dzielnie przeciw zabobonom i urojeniom astrologii walczył, abyś w pięćdziesiątym roku życia, był jéj zwolennikiem? Widzę uśmiech na twojéj twarzy, rozumię go dobrze, ale daruj mojéj otwartości. Nie mnie to wdawać się w rozprawy z tobą, który wszystkich spółczesnych światłem przewyższasz, ale powiédz, do czego ta mowa.«

»Posłuchaj: Stulecie, które się za tydzień zacznie, jest brzemienne w nieszczęście dla całéj ludzkości, przyjdzie czas zniszczenia, który się wytępieniem rodzaju ludzkiego zakończyć może. Tylko pierwszy rok tego stulecia wróży dzieciom naszym nieszczęście. Niechże ich połączenie odwlecze się do 1go stycznia roku 1702, wtedy sam przywiodę synowi twemu córkę moję do ołtarza. Za rok będą mieć lat siedmnaście, a przeto pobiorą się w piérwszéj wiośnie życia. Nazwiéj to urojeniem, zabobonem, obłędem; moja wiara jest niezachwianą, a jeźli twoje jaśniejsze przekonanie odrzuca moję niemiłą tobie naukę, to szanuj przynajmniéj uczucie i obawę ojca. Niebezpieczeństwo, w którém ojciec swoje dziécię widzi, może być urojone, ale zmartwienie, które go dręczy, sam to przyznasz, nie jest przecież urojeniem. Powiédz twemu synowi, niech unika przez rok cały wszelkiéj sposobności widzenia się z Elżbiétą, chociażby mu nawet miejsce jéj pobytu wiadome było, a jeźli prośb moich nie wysłucha, ujrzy swoję narzeczonę — w grobie.«

Morosini nie odrzekłszy na to ani słowa, wziął swego zasmuconego przyjaciela w ramiona, a pożegnawszy go, i przyszedłszy do domu, oznajmił swemu synowi wolę trwożliwego o los córki ojca.

Giovanni był dzielnym młodzieńcem, łączył najpiękniejsze talenta z najpowabniejszą powierzchownością. Przejrzał on bystrym rozumem swoim obłąkanie Bernarda, ale podał się woli jego, szanował go jako swego przyszłego ojca, a chcąc ściśle wykonać nałożony mu warunek, udał się w podróż do Włoch i Niemiec, tak dla ukończenia ukształcenia swego, jak i dla uspokojenia tęskniéj serca przez zmianę nowych wrażeń. Obraz kochanki i boleść srogiego rozstania wszędzie mu towarzyszyły. Zaledwie upłynęło trzy części roku, już spieszył oddychać tém samém powietrzem, które jego ubóstwioną Elżbiétę otaczało. Powracając do Wenecyi zatrzymał się w Padwie.

Byłoto 26. września, dzień uroczysty w rocznikach tego chrześcijańskiego miasta, które na ruinach staréj stolicy Antenora zakwitnęło. Pobożność wzniosła tu kościół świętéj Justynii, który w budowie z piérwszémi świątyniami chreścijaństwa mierzyć się może. Giovanni przejęty pobożném podziwieniem, idąc ulicą samych bogatych namiotów i z kwiatów ustawianych chłodników, wszedł w święte podwoje kościoła, gdzie z wonnych kadzideł unoszące się obłoki, światłem wysokich, obłęcznych okien olśnione, igrały wszystkiémi promieniami uroczéj tęczy. W bocznéj kaplicy, wyłożonéj drogim marmurem, ukląkł na mozaikowéj posadzce.— Blizko przy nim, na ołtarzu w puszce połyskującéj od złota i dyjamentów, spoczywały

błogosławione relikwije świętéj, a w koło ołtarza stało w bieli, grono dziewic śpiewających nabożne pieśni. — Młodzieniec powiódł ciekawie okiem po tym nabożnym orszaku, lecz jakież było zdziwienie jego i jaka radość! Oto widzi tę, za którą od wielu miesięcy niepocieszony tęskni, słyszy ten głos anielski, który w jego sercu najsłodsze budził wspomnienia. »Giovanni! Wkrótce się obaczymy!« szepnęła jedna z dziewcząt uchyliwszy zasłony, »nie zapominaj o twojéj Elżbiecie!« — To mówiąc, weszła w ciemny kurytarz i zniknęła wraz z swémi towarzyszkami. Giovanni widział więc swoję narzeczoną jeszcze przed upływem złowróżbiego roku. Trzy ostatnie miesiące były dla niego nieznośnie długie, ale — jak na jego zgubę, zbyt prędko ubiegły! — Na kilka dni przed wyznaczonym czasem, szedł Morosini do Bernarda w téj myśli, że jako filozof zajęty badaniem, zapomniał zapewne o swojém przyrzeczeniu; lecz jakież nie było zdziwienie jego, gdy smutnego przed rokiem Bernarda zastał w wesołym humorze, zajętego przygotowaniem do ślubu, który się miał odbyć jak najokazaléj i z wszelkim przepychem.

»Dobrze mój przyjacielu, że myślisz o szczęściu naszych dzieci. Spieszmy się, nie zwlékajmy! Mój Giovanni usycha z tęsknoty, więdnie mi jak kwiatek, którego korzeń ostrze lemiésza podcięło; lękam się, czy mi go nieba nie pozazdrościły! Jego lica blédną, oczy mgła osłania, moje łzy ojcowskie nie mogą rozegnać żałoby jego!«

»Rzecz dziwna«, odrzekł Trevisano, »jam także otrzymał niepokojące wieści o zdrowiu mojéj córki. Lecz nie miejmy żadnéj obawy, trwoga nasza próżna. Jeźli moja wola ściśle dopełnioną została, ujrzymy dzieci nasze ślubnymi połączone związki. Smutek obojga jestto cień pierzchliwy, przelotna tylko chmurka, którą jeden promień z oczu kochanków rozwieje, i w błogi błękit wypogodzi. Jeszcze tylko sto godzin kochany Onofrio, sto godzin tylko, a dzieci nasze zwiążą się wiecznym ślubem w słodką pociechę naszę.«

Jeszcze téj samej nocy odjechał szczęśliwy ojciec do Padwy, podczas gdy w pałacu jego czyniono wszelkie przygotowania do zbliżającego się wesela.

Pierwszego stycznia r. 1702 w godzinę po zachodzie słońca, kiedy już nabożeństwo skończono, raz jeszcze otworzyły się podwoje kościoła świętego Marka do uroczystego obrzędu, a tłum ludu zapełnił jego przestrzenie. Dwa nieliczne ale w pogrzebowy przybór świetne orszaki, wyruszywszy równocześnie z pałacu Morisini i Trevisano, głosząc modlitwy za umarłych, zdążały ku świątyni, aby ostatnią oddać posługę zgasłéj w kwiecie wieku parze oblubieńców. Obadwa te orszaki weszli w jednymże czasie dwiema bocznémi drzwiami do kościoła, i zbliżywszy się do grobów wielkiéj *Signoryi*, złożyły dwie, czarnémi oponami obwieszone trunny. W nich spoczywały zwłoki Giovanniego Morisini i Elżbiety Trevisano.

Kabalistyczny senator nasz umiał w prawdzie biegle czytać głoski przeznaczenia w mgłe przyszłości wypisane, a chociaż grożącego niebezpieczeństwa odwrócić nie zdołał, to przecież z doświadczenia wziął w naukę: że prócz umiejętnéj, mistycznéj rachuby, coś jeszcze za jéj okresem pozostaje, co wszelką mądrość i przezorność niweczy, a tą niewidomą siłą jest: przypadek, który również losami śmiertelnych rozrządza.

SZTUKA ŁATANIA.

Czytelnikom gazet wiadomo, że się nie powiodła próba, którę pan Henson swoją sztucznie zbudowaną maszyną napowietrzną przedsięwziął, a któréj opisanie daliśmy w naszéj Gazecie w Nr. 57. Nie będzie więc tu od rzeczy przebiédz pokrótce dzieje téj sztuki. Chociaż akademija francuzka wyrzekła: że zadanie latania w powietrzu nie może być nigdy rozwiązane; przecież wielu doświadczało sił swoich w téj mierze, a niejaki William Todd, w Ameryce, o którym tu także mówić będziemy, natrafił, jak się zdaje, na prawdziwą tajemnicę téj trudnéj sztuki, która niestety wraz z nim zaginęła.

Wiadome są usiłowania i los sławnych żeglarzy napowietrznych. Pilastre de Rosiers i Zambeccari padli ofiarą téj sztuki, któréj życie swoje poświęcili. Pani Blanchard, gdy jéj balon rozpękł się w powietrzu, spadła na dach jednego domu w Paryżu i zabiła się na śmierć. Garnerin przepłacił życiem przy pierwszéj próbie, którę odbywał ze spado-chronem. — Ale nie o tém chcemy tu mówić; sztuka żeglarska napowietrzna, lubo doszła w nowszych czasach

do wysokiego stopnia doskonałości, różni się jednakże od téj sztuki, któréj zadaniem: w locie napowietrznym naśladować ptaka.

Jeźli w dawne mityczne czasy sięgniemy myślą, przypomniemy sobie, że już Dedal był zrobił skrzydła, któremi uleciał na wolność z błędnika w Krecie. Ikar idąc w ślady swego ojca, mniéj był od tegoż szczęśliwym, bo gdy się wzniósł aż ku słońcu, stopniał wosk, którym spojone były skrzydła, a nieszczęśliwy żeglarz znalazł śmierć w morzu. Ale piérwszą historyczną datę o żeglarzu napowietrznym mamy w czternastym wieku: Matematyk Dante, rodem z Perugia, zrobił skrzydła z piór i zaopatrzył je sztucznym mechanizmem, za pomocą którego nietylko mógł się w powietrzu utrzymać, ale także lotowi swemu dowolny nadać kierunek. Kilkakrotnie odbywał on podróż napowietrzną po nad jezioro trazymeńskie. Ośmielony takiém powodzeniem i zawiérzając swoim skrzydłom, puścił się do lotu z rynku Perugia. Z-razu wzbił się bardzo wysoko, ale pęka drut żelazny, który skrzydła w ruch wprawiał, a biédny żeglarz spada na wieżę kościoła *Notre-Dame* i łamie kolano. Szczęście jeszcze, że mógł drugiém skrzydłem robić, dla tego upadek ten nie był śmiertelnym.

Anglik, nazwiskiem Cook, wynalazł w roku 1669 maszynę do latania, ale ta była nader niedoskonałą, bo zaledwie na kilka stóp od ziemi można było nią wzlecić. Przytém wymagała takiego natężenia, że sam wynalazca zaledwie przez trzy minut mógł się w powietrzu utrzymać.

W r. 1772 kanonik z Estempes, nazwiskiem Dessorges, chciał także spróbować, jak się też po powietrzu lata. Ale kanonik jeszcze z owych błogich szasów, nie był lekki jak piórko, przytém lubiał wygodę, dla tego zbudował latający kabryjolet, który jednakże zaraz przy piérwszéj próbie nie dopisał myśli wynalazcy, gdyż się złamał pod okazałym ciężarem żeglarza.

O wiele lat późniéj ogłosił w Paryżu pan Baqueville, że przeleci Sekwanę. Skrzydła swoje poruszał on mechanizmem, który był na piersi przymocowany. Tłum ciekawych zebrał się na ulicy świętych ojców, tu z okna wzleciał śmiały żeglarz, ale zaledwie doleciał do połowy rzéki, przestał robić skrzydłami; zdawało się, że mu sił brakło; po niejakiéj chwili spadł na łódkę i złamał sobie kolano podobnie jak Dante.

Włoch Borelle i zegarmistrz z Wiédnia nazwiskiem Deghenne, doświadczali się także w sztuce latania. Piérwszy, jak się zdaje, nic wielki w téj mierze uczynił postęp, bo oprócz jego nazwiska nic więcéj o nim nie wiadomo. W r. 1812 wzleciał Daghenne na polu marsowém w Paryżu, i przez niemały czas utrzymywał się w powietrzu. Działo się to w obec licznie zebranéj publiczności, która się jednakże zawiodłszy w swoich oczekiwaniach rozeszła. — Wszystkie te usiłowania przewyższył mechanik William Toodd, który przez długi czas zostawał w pewnym handlowym domu w Filadelfii. Okazywał on od lat najmłodszych nadzwyczajną zręczność do sztuk mechanicznych, był namiętnym miłośnikiem ptaków, i całe swe pomieszkanie zapełniał klatkami. Przez swoje skromne nie udzielające się życie, zebrał tyle, że kupił sobie dom z ogrodem. W wolnych godzinach pracował nad żelazną siatką, którą cały ogród pokrył, tak, że różne ptactwo jakby na wolném powietrzu latało w téj ogromnéj klatce. Całe dnie pędził William Toodd przy swoich ptakach, wieczorem zamykał się w swoim skrytym pokoju, w którym niczyja nie postała noga; żaden z jego towarzyszy nie wiedział, co w tém ukryciu porabia.

William Toodd, kochał córkę swego przełożonego, był nawzajem kochany, a przecież nie miał żadnéj nadziei, bo właściciel handlu był bogaty.

Jednego razu pożegnał swoję kochankę témi słowy: »Będę mieć sławę i majątek, czekaj na mnie dwa lata.« Od téj chwili nie widziano go więcéj w sklepie, zamknął się w swojém pomieszkaniu, które dopiéro po dwóch latach opuścił.

Ogromne afisze zwoływały mieszkańców Filadelfii na nadzwyczajne widowisko. William Toodd ogłaszał: że w obec wszystkich wzbije się w powietrze i w przeciągu 4 godzin przeleci przestrzeń trzydziesto-milową od Filadelfii do Nowego-Jorku.

Wielu posądzało go, że odszedł od zmysłów, sama kochanka zaklinała go ze łzami, aby zaniechał swego zamiaru, ale on pewny swojéj sztuki, nie słuchał żadnych przełożeń i był obojętnym na wszelkie pociski dowcipu.

O wyznaczonéj godzinie staje na wielkim placu w Filadelfii, i zrzuca płaszcz, który miał na sobie. Wtedy spotrzeżono dwa skrzydła, które przymocowane do ramion, połączone były żelaznémi drutami opasującémi nakształt pancerza piersi i biodra latawca. Pociśnięcie jednéj żelaznéj taśmy u pancerza, wprawiało w należyty ruch obie skrzydła. Inne sprężyny podnosiły lub spuszczały gwichty aż pod same stopy, były one niejako balastem dla utrzymania latawca w pionowéj linii. Aby pionem wzlecić do góry, przywdział hełm w kształcie orléj głowy, zakończony ptasim dziobem, przezto zmniejszył powierzchnię swojéj głowy, a tém samém i opór powietrza. Obejrzawszy należycie mechanizm skrzydeł

i pożegnawszy ręką swoję kochankę, która w trwodze stała w oknie, pokłoniwszy się zebranym tłumnie widzom—za jednym ruchem wzleciał w powietrze. Uroczysta cisza panowała do koła. Nie minęło chwil kilka, a głuszące okrzyki i oklaski rozległy się w około, William Toodd, wzbił się do niezmiernej wysokości. Tam zatrzymał się przez chwilę, a za ruchem mechanizmu przybierał już poziome już pionowe położenie, naraz wzbił się chyżym lotem tak wysoko, że go okiem zaledwie dojrzeć można było. W tem oddaleniu pokłonił się zdziwionemu ludowi, i chyżym lotem płynął ku miastu Nowy-Jork tak wolno i spokojnie, jak pływacz, którego na wznak leżącego, woda unosi. — Od owéj chwili już go więcej nie widziano.

W czternaście dni później znaleziono w odległości 18 mil od Filadelfii a 12 od Nowego-Jorku pod drzewem w lesie na pół poszarpanego od wilków trupa, który miał dziurę w głowie od kuli. Byłto William Toodd. Jeden z strzelców wyznał potém, że widząc jakąś czarną masę w powietrzu i mniemając, że to jaki z olbrzymich ptaków pławi się ponad jego głową, dał ze strzelby ognia, lecz gdy trup człowieka spadł na ziemię, uciekł z trwogi i przestrachu.

I tak, kula zgładziła znakomitego męża, a z nim poszła do grobu i ta myśl, która mu stworzyła skrzydła do lotu.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochanskiego, wyszedł N. 21. i obejmuje: 1) Jęczmień jerozolimski. 2) Jakie trzeba mieć powody, aby system gospodarski zmienić a płodozmienny zaprowadzić? (Dokończenie). 3) Co w czasach dawniejszych upowszechnianiu się poprawnych zawodów koni w kraju naszym sprzyjało, tudzież jakie pod tym względem obecnie nastręczają się uwagi? (Dokończenie). 4) Doskonały sposób robienia i wypalania dachówek. 5) O uzyskaniu i przysposobieniu dębnicy garbarskiej. (Dokończenie). 6) Wiadomości czasowe.

Dziennika mód paryskich, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Ner 11. i zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Szczérość, przez Leszka Dunina Borkowskiego. 2) Szkice podróżne, przez W. Chłędowskiego. (Ciąg dalszy). 3) Roxolanka, powiastka historyczna, przez F. X. Jaworskiego. (Dokończenie).

Biblijoteka warszawska zawiera na miesiąc maj następujące główne artykuły: 1) Wspomnienie Kaukazu, przez Adama Idźkowskiego. 2) Uwagi Piotra Dubrowskiego nad artykułem Tyszyńskiego: *Rys historyczny oświecenia Sławian.* 3) Spojrzenie na literaturę dramatyczną polską, przez Wojcickiego. 4) Telegrafy galwaniczne, przez Przystańskiego. 5) Zbigniew, wyjątek z dramatu, przez Gustawa Zielińskiego. 6) Walka z Michałem, przez A. Czajkowskiego. 7) Neuchatel. 8) Przeciszew, szkic historyczny od r. 1701 — 1709, przez Ad. A. Kosińskiego. 9) Do Liszta, przez Frańciszka Wężyka (wiersz umieszczony niedawno w naszych »Rozmaitościach«, który także i do »Tygodnika literackiego« przeszedł). W kronice literackiej są wyjątki z dzieła Frańciszka Dmochowskiego, majstra krawieckiego w Przemyślu, które za staraniem Koźmiana, ma wyjść niebawem we Lwowie na widok publiczny.—Rozmaitości.

Nasz ziomek Trojański, autor *Słownika*, jest spółpracownikiem pisma czasowego: *Neue Jahrbücher für Philologie und Paedagogik.* (*Przegl. nauk.*)

Marek Jakimowski. W siedmnastym wieku wsławił się na morzu śródziemném rzadką odwagą ziomek nasz Marek Jakimowski, wzięty pod Cecorą w niewolę turecką, i w r. 1627 na galerze aleksandryjskiej więźniem trzymany. Smiały ten Polak znajdując się w porcie miasta Metelin na wyspie Lesbos, gdzie eskadra turecka z czterech galer złożona na kotwicach stała, wybić się na wolność postanowił. Zwierzył on się tylko dwom towarzyszom swoim: Stefanowi Szatanowskiemu i Janowi Stolczyna, a upatrzywszy sposobną chwilę, uderzył na kilku Turków na straży na pokładzie stojących, i pomimo dwóch odniesionych ran przedarł się do składu broni okrętowéj. Więźnie chrześcijańscy, których 212 na téjże galerze liczono, porwali się natychmiast do oręża, który im Jakimowski i powiernicy jego podawali, rzucili z siebie okowy, po krwawéj utarczce, tureckich żołniérzy okrętowych rozgromili i rozwinąwszy żagle, z portu wypłynęli. Gwałtowna burza, która wkrótce potem powstała, zniewoliła galery tureckie chrześcijan ścigające szukać schronienia u lądu. Chrześcijanie na zdobytym okręcie, którzy mężnego Polaka jednomyślnie swoim obrali wodzem, szczęśliwie wytrzymawszy falę, wkrótce do Messyny, a z tamtąd do Rzymu przepłynęli. Jakimowski złożył u nog Ojca św. banderę zdobytej galery, drugą zas chorągiew', wróciwszy do Polski, w kościele św. Stanisława w Krakowie zawiesił. Równie czuły jak odważny pokochał i zaślubił brankę chrześcijańską na okręcie tureckim. — Edward Raczyński w *Dzienniku podróży do Turcyi odbytéj w r.* 1814, z którego te słowa wyjęte, mówi co następuje: »Przejęty uszanowaniem dla walecznego Polaka, pragnąłem wznieść *tropheum*, czyli znak zwycięztwa, polskim ozdobiony orłem, i na tych skałach, które męztwa jego świadkami były.«

Ponsard, autor trajedyi: *Lukrecyja*, nieznany niedawno, teraz bożyszczem całego Paryża; wszystkie dzienniki głoszą jego sławę, wszystkie znakomite osoby cisną się do jego znajomości. Ministrowie Duchatel i Cunin-Gridaine, zapraszają go na obiady, sam król przesłał mu (przy takiéj zachęcie i uznaniu jakże nie mają pojawiać się talenta!) pochlebne zaproszenie. Sztuka ta, dana była najpierw teatrowi *François* ale komitet odrzucił ją jako słaby utwór. Tém większy jest teraz tryjumf poety. Wiersz Ponsarda jest gładki, i płynnie mu z pod pióra z zadziwiającą łatwością. Na przed-ostatniéj próbie dodał dla roli Julii dziesięć wierszy, które za każdą razą najgłośniejsze wywołują oklaski. Pewien paryski księgarz nabył rękopis téj sztuki za 7,000 franków. Prócz tego teatra w całej Francyi płacą autorowi od każdego przedstawienia część jakąs. Ponsard pracuje teraz nad drugim dramatem, którego z niecierpliwością oczekują. Cma naśladowców zachęcona powodzeniem téj trajedyi, przywdziewa jak słychać rzymską togę, mówią już o Katylinie w pięciu, o Pompejuszu i Cyceronie w czterech aktach. A zatem toga zaczyna znowu wchodzić w literacką modę.

Frenologija. Gall przepowiedział rozwinięcie talentu jednemu z pierwszych pianistów europejskich. W muzeum tegoż frenologa w Paryżu, znajduje się odcisk głowy młodzieńca; jestto głowa Frańciszka Liszta, a pod nią, te własną ręką Galla nakreślone słowa: Szczególniejsze rozwinięcie organu muzykalnego, wybitny organ naśladowczo-poezyjny zdolny najwyższego udoskonalenia. Gall twierdzi oraz, iż w chwili skonu, gdy już wszystkie żywotnie siły zamiérają, najwydatniejsza, będąca główną cechą tego człowieka za życia, jeszcze ciągle działa. I tak powiada o pewnej kobiécie, u któréj zmysł porządku najbardziéj był roz-

winięty, że gdy była konającą i na wszystko, co ją otaczało, już nieczułą, jeszcze raz zebrała wszystkie siły, aby powiedzieć służącej, gdzie była bielizna, w którą ją po śmierci ubrać mają. — Opowiada także o pewnym mordercy, który gdy go kat niezręcznie wieszał, chociaż na pół nieżywy, w głos śmiać się zaczął. Gdy zmieszany kat zapytał wisielca, co mu się tak śmiesznem wydaje, odrzekł mu: że sobie przypomniał w tej chwili pewnego kramarza, jakie on miny stroił, gdy mu gorącą cynę lał w gębę, nim go zamordował.

Donoszą z Petersburga, że do Tobolska sprowadzony został o 2,000 wiorst szkielet mamuta z mięsem, skórą i sierścią, znaleziony na brzegach rzeki Taz, wpadającej o 300 wiorst od morza lodowatego do rz. Jenissej. Z pokarmu pozostałego w żołądku tego przedpotopowego zwierzęcia, można będzie z pewnością wnieść, czyli Syberyja i w czasach przedpotopowych była tak zimną jak teraz. Rok 1843 w rocznikach badaczów natury bardzo jest ważny: na niebie kometa potrąca się prawie w drodze swej o słońce, a z łona ziemi wydobywają się szczątki zaginionego świata.

Jan Paweł Richter i Gete. Jan Paweł Richter uskarżał się jednego razu przed Getem na niesprawiedliwe, nikczemne pociski, które nań motłoch literackich zawistników rzucał. »Z-razu odpowiadałem na nie, ale widząc, że bronić się przed tymi potwarcami, było to samo, co wzruszać osie gniazdo; postanowiłem nie pierwéj z odpowiedzią wystąpić, aż mnie który z nich o skradzenie łyżki srebrnej posądzi.« Na te słowa patryjarcha niemieckiej literatury potrząsł swoją głową Jowisza i rzekł: »Kochany przyjacielu, jabym i wtedy nie odpowiadał. Nie bierz sobie takiej urazy do serca. Kto czwałem przez wieś pędzi, na tego zwykle psy szczekają. A dla czego? Oto, że wysoko na koniu siedzi, i że go dognać nie zdołają. Ludzie i psy nie mogą znieść tego obojga.«

W Chersonie, twierdzy rossyjskiej, rośnie drzewo brzoskwiniowe, które cesarzowa Katarzyna w roku 1781 zasadzić kazała. U samego spodu pnia ma siedm stóp i siedm cali grubości, na łokieć od ziemi, dzieli się w konary; ma trzydzieści sześć i pół stopy wysokości. Drzewo to rodzi rocznie dziesięć do dwanaście pudów owoców. W całej południowej Rossyi jestto jedyne brzoskwiniowe drzewo.

Klaskacze (*claqueurs*) w Paryżu, także *chevaliers de lustre,* zwani dla tego, że na środku parteru pod lampionem stoją, mają teraz około 6,000 członków. Dzielą się na: *connaisseur,* z tych jeden zajmuje zwykle pierwsze miejsce, umie wiele wierszy z trajedyj lub komedyj na pamięć, zwraca uwagę swoich sąsiadów na piękności sztuki i gry aktorów i opowiada ciekawe anegdoty z życia aktorek; *tapageur,* który za najmniejszą pobudką zapamiętale bije w dłonie; *rieux,* który na lada jałowy dowcip bierze się za boki i pęka od śmiechu, a to, aby i sąsiadztwo swoje do uciechy pobudził; *pleureur,* upatruje sceny czułe, i stara się swoim płaczem drugich rozrzewnić; *chatouillieur,* częstuje przed zaczęciem sztuki i pomiędzy aktami tabaką, afiszami, bonbonkami, sieje dowcipem i pocieszną gawędką żywi wesoły humor słuchaczy; *chauffeur,* stawa na każdym rogu ulicy, gdzie afisz przybity, a gdy się kilka osób razem zbierze, woła z uniesieniem: »Ach, coza śliczna sztuka!« Jest nakoniec klasa *bisseur,* ci pracują niezmordowanie piersiami, wrzeszcząc *bis* lub *da capo.* Każden z tych klakierów ma wolny wstęp do teatru za pokazaniem wolnego biletu, i dostaje oprócz tego dwa do trzech franków. Krzykacze z ostatniéj klasy, szczególnie ci, którzy dla silnych, donośnych płuc są pobieńcami dyrektorów i aktorów, zarabiają rocznie 1200 do 1500 fran. — Zanosi się i u nas — wyżej lampionu — na to, chociaż na mniejszą skalę, lecz niestety, co do franków zazdroszczą *claquerom* francuzkim.

Sztuczny jeździec Soullier, znany i naszej publiczności, był przed 15 laty u braci Gallien w Tuluzie za-angażowany, z tamtąd udał się do Francyi, Włoch i Niemiec. W Wiédniu poślubił wdowę de Bach, właścicielkę cyrku w praterze. Odtąd został dyrektorem trupy konnych jeźdców. Z Wiednia udał się wzdłuż Dunaju do Konstantynopola, gdzie go z takiem uniesieniem przyjęto, jakiego się po obojętności tureckiej ani spodziewać można było. Widowiska podobnego rodzaju, podobają się szczególniej ociężałym Turkom. Sułtan mianował go swoim koniuszym i obsypał licznémi podarunkami, między innémi nadał mu order *Nishan-Iftihar.* Po wystąpieniu Chozrewa Baszy z dywanu, gdy Soulliemu płacę zmniejszono, opuściwszy Stambuł, i zwiédziwszy wschodnią Rossyję i Moskwę, udał się do Petersburga, gdzie z swoją trupą z największém powodzeniem wystąpił. Teraz zamyśla, jak »Gazeta Petersburska« pisze, zbudować tamże cyrk olbrzymiéj wielkości, aby ewolucyje konne na największą stopę wykonywał.

Kapelusz u Hiszpanów, tyle znaczy co *grandezza.* »On otrzymał kapelusz«, mówią w Hiszpanii o tym, którego król wyniósł do godności granda. Mianowanie dzieje się bardzo lakonicznie i bez wszelkich ceremonii. Król rzeknie: *cubraos,* (nakryj głowę), a grandeza hiszpańska nowym już pomnożona członkiem. Grandowie dzielą się, czyli właściwie mówiąc, dzielili się na trzy klasy, każda miała wybitną cechę, odróżniającą jednę od drugiej. Grandom pierwszej klasy, wolno było nakryć głowę kapeluszem, nim jeszcze król do nich przemówił, drugiej, po przemowie królewskiej, a trzeciej, dopiero po odpowiedzi danéj królowi. Szczególniej na wsi okazują Hiszpanie kapeluszowi gościa największe uszanowanie. Gospodarz domu stara się przedewszystkiém dostać w ręce kapelusz gościa, i kładzie go z największą czcią i uszanowaniem na sofie jakby koronę jaką.

Kamień grobowy cesarza chińskiego. Zwyczaj niesie, że przy koronacyi cesarza chińskiego staje przed nim kamieniarz, trzymając w ręku na próbę kilka odłamów najpiękniejszego marmuru i przemawia do władcy niebieskiego państwa temi słowy: »Wybiéraj niebieski cesarzu, pod którym kamieniem mają spoczywać kości twoje!« Przypomnienie na grób w chwili najświetniejszego blasku życia, jestto zaiste poskramiająca nauka!

Pewien profesor naturalnej magii, kazał sobie na jedném przedstawieniu podać jajo, które koszem przykrył. Po kilku minutach zdjął nakrycie, aż oto — z jaja wylągł się sławą uwieńczony poeta! Ta sztuka sprawiła wielkie zadziwienie, żądano, aby ją powtórzył. Nasz Paracelsus wtóry, każe sobie podać drugie jajo, robi tak samo jak z pierwszem, ale gdy kosz uchyla, publiczność miasto poety — ujrzała znanego paszkwilanta. Gdy czarodzieja zapytano: dla czego tym razem taki potwór wyklół się z jaja, tenże odrzekł z nizkim ukłonem: »To moi panowie z tąd pochodzi: że to nie było zdrowe jajo, ale zapartek.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.